

## Jan Poprawa

Kraków

### C'est la vie

Tego wieczoru telefon zadzwonił niespodzianie. Było paskudnie, późno, ale na tę wiadomość – byłoby za wcześnie o każdej porze dnia czy roku. – Andrzej nie żyje!

Te kilka ostatnich godzin dziesiątego października 1991 roku będę pamiętał zawsze. Dzieliliśmy się z przyjaciółmi wiadomością. I bólem. Pamiętam głos Włodka Korcza, jakby pragnącego obronić się przed rzeczywistością. Pamiętam zmatowiały nagle dźwięk głosu Janusza Grzywacza, gdy rozwiewał wątpliwość:

– Tak, Andrzej nie żyje. I Zuza...

W takie chwile, choćby nie wiedzieć, jak to kiczowato wyglądało – przypomina się kawał życia. Ten, w którym dzieliło się je z kimś drugim. Wspominałem więc.

Kraków u schyłku lat sześćdziesiątych. „Europejskie miasto w ruskiej niewoli”, jak mawiał nieodżałowany profesor Kazimierz Wyka. Przykurzona scenografia historycznej sztuki? Nie. Miejsce naszego życia. Na ścianach tu i ówdzie ręcznie bazgrane afisze, wzywające na koncert Szwagrów, Czarnych Pereł, Telstaru i innych bohaterów chłopięcej wyobraźni. Trojanowski, Tiachnowski, Kadłuczka, Gogosz, Jamrozy, Koster czy Sztyc, nazwiska, które dziś pozostały tylko w niewymiecionym przez doktora Alzheimera zakątku pamięci starszego człowieka... Może wtedy otarłem się po raz pierwszy o niewysokiego chłopca z Pychowic? A może nieco później, gdym na jakiejś potańcówce „u Wandera” przy ulicy Mogilskiej, rzut beretem od mego ówczesnego mieszkania, usłyszał Czarty? Na te pytania odpowiedzi nigdy już nie udzielę. Pamiętam tylko, że na koncertach w Barbakanie, prowadzonych w niezwykle sposób przez Wieśka Dymnego – były setki, może tysiące podobnych nam chłopaków, sklejonych w jedno przez rytm bigbitu...

Czarty to był jeden z wielu zespołików grających rówieśnikom do tańca. Jako początkujący recenzent zapisywałem wrażenia ze spotkań z takimi grupkami zapaleńców. Ale o Czartach nie znajduję ani słowa. O Tytanach z Wieliczki – i owszem: „Gruby gitarzysta ryczy jak bawół”, to odnotowana w pożółkłym dziś kajecie opinia o znakomitym później jazzmanie. Kto by pamiętał niewielkiego chłopca zza perkusji amatorskiego zespołu?

W 1967 roku albo na początku 1968 wyjechałem do Francji. Tam pierwszy raz usłyszałem i pokochałem gościa, który się nazywa Ray Charles. Kupiłem jego płytę z takimi utworami, jak *Georgia on My Mind*, *Woopi Yoopi* i *I Can't Stop Loving You*. Zakochałem się w tych utworach, nauczyłem i po przyjeździe do Krakowa zmieniłem zupełnie swój styl śpiewania. W Polsce nikt dotychczas tak nie śpiewał. Śpiewało się Toma Jonesa, takie utwory jak *Delilah* itp. A tu nagle w Krakowie jeden facecik zaczął śpiewać Charlesa. To zwiabiło moich późniejszych kolegów z zespołu Dżamble, Mariana Pawlika i Benka Radeckiego. Przyszli, posłuchali mnie i skaperowali natychmiast do zawiązującego się wówczas zespołu... – wspominał w gazetowym wywiadzie Andrzej.

*Georgia* to piosenka na lata związana z Zauchą. To ją właśnie śpiewał w klubie przy Mogiłskiej, gdy słuchali go po raz pierwszy późniejsi przyjaciele z Dżambli. To *Georgię* nagrał na swej pierwszej, niemieckiej płycie z jazzowym zespołem Old Metropolitan Band (w którym – nawiasem mówiąc – grał na perkusji). *Georgię* Andrzej wykonywał chętnie, przez całe życie. Najbardziej wstrząsające jej wykonanie pamiętam z rynku krakowskiego, gdy wraz z reżyserem Tadeuszem Lisem przygotował wielki koncert-benefis, z Zauchą w roli głównej...

Najpierw jednak były Dżamble. Niezwykły zespół młodych ludzi, którzy wyprzedzili czas, w naszym kraju biegnący jakby wolniej niż w świecie. Dżamble – czyli wspomniani już Marian Pawlik i Benek Radecki, a także Jurek Horwath – były zespołem lokującym się gdzieś między wciąż modnym „mocnym uderzeniem” a jazzem. W środowisku polskich artystów, zwłaszcza jazzowych, światy te dzieliła przepaść. Owszem, zdarzało się, że znakomici instrumentalisci jazzowi wspierali już wtedy idoli – ale zazwyczaj były to „prace zlecone”. Dżamble sami określili artystyczne preferencje. Co więcej – zostali zaakceptowani po obu stronach rozszerzającej się przepaści. Po zwycięstwie w II Młodzieżowym Festiwalu Muzycznym, wielkiej próbie artystycznego zaplecza polskiej estrady (w pierwszym MFM wygrali Skaldowie, w drugim zespołowych laureatów wyłoniono zaś z 376 zgłoszeń!), przyszły przecież pochlebne opinie zyskane w czasie „Jazzu nad Odrą”. Konkursu ortodoksyjnie jazzowego...

Po lipcowym sukcesie w II Młodzieżowym Festiwalu Muzycznym ukazała się bodaj pierwsza recenzja poświęcona Andrzejowi. Jej fragmenty, pu-

blikowane na łamach raczkującego wówczas „Jazz Forum” – jako autor z satysfakcją przedrukowuję:

Ekspresja to największy walor Andrzeja Zauchy z Krakowa. Laureat tegorocznego festiwalu „Jazz nad Odrą” występował wraz z zespołem Dżamble, którego jest stałym członkiem. Wśród zgłoszonych i zakwalifikowanych do finału wokalistów krakowianin wyróżniał się zdecydowanie dzięki „murzyńskiej”, nieco chropawej barwie głębokiego głosu, dzięki niespotykanemu u innych naszych (nie tylko startujących w festiwalu) śpiewaków wyczuciu swingu, dzięki zastanawiającej, intuicyjnej swobodzie rytmicznej. Andrzej jest wokalistą bardzo młodym, gdyby mniej umiał – rzekłbym początkującym. Jednak nie waham się już w chwili obecnej zaliczyć go do szczupłego grona naszych najwybitniejszych wykonawców rhythm and bluesa i wierzę, że po studiach wokalnych (na które się wybiera) może się on stać bardzo cenionym wokalistą – nawet jazzowym.

Kariera Dżambli, choć krótka, wyznaczyła na lata miejsce Andrzeja Zauchy na polskiej scenie. Od początku wiadomo było, że nie jest to – i nigdy nie będzie – idol, lecz artysta. Różnica to znaczna: idolem zostaje się dzięki widowni, jej marzeniom i złudzeniom, jej niestałości i podatności na propagandę. Artystą się jest dzięki sobie, dzięki własnej niepowtarzalności, wyobraźni, umiejętności. Andrzej, co prawda, nie podjął studiów wokalnych, zapowiadanych w pierwszej recenzji, ale przeszedł kurs mistrzowski w pracy z ludźmi kreatywnymi. Dzięki nieustannej bliskości środowiska jazzowego, które nauczyło go nie tylko wykorzystywać elementarną zręczność w grze na perkusji czy saksofonie tenorowym, ale także stworzyło drugi obok głosu fundament jego wokalistyki – ów *feeling*, jazzowy stosunek do czasu, rytmiczną swobodę frazowania. Ale także dzięki bliskiej obecności Leszka Aleksandra Moczulskiego, wybitnego krakowskiego poety, który zwrócił mu uwagę na walor słowa w piosence.

Umiejętność interpretowania tekstu przydała się Zausze na całe życie, gdy Dżamble przestały *de facto* istnieć – nawiązał był bowiem współpracę z Janem Kantym Pawлуśkiewiczem i opuszczoną na czas jakiś przez Grechutę Anawą. Pawлуśkiewicz tak mówił:

Andrzej równie dobrze czuł się w repertuarze, który pozornie był mu obcy, czyli w utworach niejazzowych, dokładnie zaaranżowanych na kwartet smyczkowy, w tekstach, których dotychczas nie śpiewał – mówię o tekstach Zycha, Leśmiana, Przybosia. To była zupełnie odświeżająca sytuacja, dlatego że te teksty wyartykułowane z fantastyczną dykcją, z niezwykłą muzykalnością, umożliwiały natychmiastowy kontakt z odbiorcą. To była wielka przyгода. Szkoda, że trwało to tylko półtora roku. Nagraliśmy tylko jedną płytę na początku 1973 roku i właściwie po sesji nagraniowej rozstaliśmy się, ponieważ on zdecydował szukać siebie w innych rejonach muzyki, jako instrumentalista. Po artystycznym epizodzie z Anawą Andrzej należał już do artystów rozpoznawalnych i cenionych. A przecież przez długie lata jego wartość nie przekładała się na masową popularność. Zarabiać więc musiał w różny sposób,

wykorzystując przede wszystkim doświadczenie muzyczne. Nonsensem jednak byłoby wylizanie tu wszystkiego, co robił (czy nawet zrobił). Encyklopedyści – z Ryszardem Wolańskim na czele – i kronikarze zrobią to na pewno lepiej. Dostępna jest zresztą książka *Andrzej Zaucha – krótki szczęśliwy żywot...*, skompilowana przez przyjaciół Andrzeja z lat późnych: Małgorzatę i Tomasza Bogdanowiczów. Zresztą życie tego artysty – także to publiczne, estradowe i sceniczne – było tak bogate, że nie wystarczy kronikarz, by je w dokładnie opisać. To życie – fascynująca inspiracja dla ewentualnej literatury. Czy lata spędzone na statku, „z chałturą po świecie”, lata zarabiania i oczekiwania na lepsze jutro – nie stanowią pięknego tematu dla ewentualnego autora powieści o artyście? Czy wiadomość, że w trzy tygodnie nauczył się grać na saksofonie, bo był to warunek otrzymania pracy, nie może być impulsem do sceny filmowej? Swoją drogą, jakież to paradoks – a zarazem znak czasu – że o dobrym człowieku i wybitnym artyście zapomina się łatwo, filmy zaś kręci się o rówieśnym mu ćpunie...

Doświadczenia muzyczne i estradowe powoli kształtowały Zauchę-aktora. Z początkiem lat osiemdziesiątych zagrał ważną rolę w musicalu Jana Kantego Pawлуśkiewicza *Kur zapiał*. Dziwne to było przedstawienie, w którym samouk z innego świata muzycznego, debiutant sceniczny – stał się nie tylko dla publiczności, ale i dla wszystkich współtworzących spektakl artystów (w większości z prawdziwej opery rodem) – mistrzem i przewodnikiem! Potem ów niezwykle talent aktorski, którego nikt nie wykorzystał do końca, a na pewno nikt nie opisał, objawiał się tu i ówdzie. Pamiętam pełne zachwyty słowa profesora Aleksandra Bardiniego, gdy zobaczył Andrzeja w jakiejś telewizyjnej błahostce. A także potem, we Wrocławiu, gdyśmy wspólnie przeżywali Gałę Przeglądu Piosenki Aktorskiej, w której Andrzej cudownie interpretował piosenkę Jonasza Kofty. Profesor Bardini uważał wręcz Zauchę za „wybitnego aktora, który gra rolę piosenkarza”. Trudno o większy komplement, jeśli słowa takie padły z ust mistrza i wyroczni w zakresie aktorstwa i sceny muzycznej. Ostatnie artystyczne osiągnięcie Andrzeja, rola Twardowskiego w musicalu innego krakowskiego kompozytora, Janusza Grzywacza – to jeszcze jedno potwierdzenie sztuki aktorskiego właśnie...

Owe predyspozycje aktorskie Andrzeja, które podkreślam, bo mało kto je opisywał, okrzepły zapewne w czasie krótkiej współpracy z Andrzejem Sikorowskim i Krzysztofem Piaseckim. We trójkę stworzyli oni mianowicie kameralną grupkę Sami. Był to rozkoszny „teatrzyk piosenki”, żeby użyć określenia modnego przed laty. Trzy indywidualności polskich estrad, zdawać by się mogło całkowicie odmienne, w tym programie stopiły się w jednym: w prawdziwej radości wspólnego przebywania z publicznością. Może miałem szczęście uczestniczyć tylko w takich wyjątkowych spektaklach Samych, w których radość wspólnego przebywania artystów udzielała się kameralnej widowni? Nie wiem. Wiem jednak na pewno, że ów epizod artystyczny był czymś znacznie więcej niż tylko kolejnym „programem”,

„występem” itp. To była próba – zapewne niewyspekulowana, po prostu wynikająca z osobowości, doświadczenia i gustów artystów – swoistej alternatywy dla chamstwa i agresji, dla powierzchowności i papuziego udawactwa, słowem – dla tego, co dziś uważa się za „estradę”, niestety...

I jeszcze jedna rzecz pozostała niedoceniona: kolędy. Dwa dni przed zbrodniczym szaleństwem zazdrosnego impotenty Zaucha nagrał program, nad jakim przez jakiś czas pracował wraz z Włodzimierzem Korczem, Alicją Majewską i Haliną Frąckowiak. Dwupłytowy album *Kolędy w Teatrze STU* jest arcydziełem sztuki wokalne. Ośmielam się twierdzić, że pastorałka *Oj maluski, maluski* (i kilka innych) jest nie tylko największym osiągnięciem artystycznym Andrzeja, ale kreacją niedościgłą dla żadnego z polskich interpretatorów piosenki! Potęgą, skalą i giętkością głosu, swoboda frazowania, żarliwość – to tylko niektóre, być może nawet nie najważniejsze cechy tego nagrania...

W dwa dni później jeden z największych artystów polskiej piosenki został zamordowany. Gdy mija szok w takiej chwili – przychodzą myśli poważne, myśli o kruchości wszystkiego, o przeznaczeniu. I pamięci. Czy nie zbyt łatwo zapomnieliśmy Andrzeja Zauchę?

Gdy jesienią, późnym wieczorem, dzwoni dziś na moim biurku telefon – staram się jednak nie snuć wspomnień. Z regału ściągam jedną ze starych płyt Andrzeja i nastawiam głośno. Najchętniej *C'est la vie – Paryż z pocztówki*. Wtedy zdaje mi się, że nic się nie stało. A na pewno – że nie wszystek odszedł.

**Jan Poprawa**

1991

## **Post scriptum redaktora**

Archiwum kultury studenckiej tworzone jest w Bibliotece Naukowej Muzeum Niepodległości w ramach tematu badawczego pod nazwą „Kultura studencka. Obszar wolności w czasach PRL”. Jan Poprawa jest wybitnym znawcą tematu. Od czasu do czasu udaje się nam opublikować jakiś jego tekst wspomnieniowy czy fragment zapisków sprzed lat. To bezcenne źródło. Liczymy na archiwum związane ze Studenckim Festiwałem Piosenki, z Festiwałem Młodych i Debiutujących Zespołów „Jazz Juniors”, na opracowanie czeka Krakowski Jazz Klub czy historia jazzu w Krakowie. Dokumentaliści prasowi liczą na materiały poświęcone „Notesowi Jazzowemu”, pismu Stowarzyszenia Autorów Polskich „Suplement”, dwutygodnikowi „Student”.

Życząc Autorowi zdrowia, prosimy o kolejne teksty.

**TSK**